



BRONISŁAW PIĘSUDSKI.

Poezya Gilaków.

*„Tyle życia, co jest w pieśni,
„Tyle szczęścia, co się prześni“.*

Na dalekim krańcu Sybiru, omywana falami Oceanu Wielkiego, leży smutna wyspa znana i naszemu narodowi przez długie lata reakcyi ostatniej doby, jako groźba dla hardych i nieugiętych, jako jaskinia do wrzucania nieszczęśliwców, którzy przekroczyli surowe prawa ludzkie, ujęte w formuły i księgi. U wejścia do tego czyśca na ziemi mógłby witać straszny napis: „wchodząc tu odrzućcie wszelką nadzieję“.

Wyspą tą jest Sachalin, surowy i trochę dziki, zszepcony jednak więcej przez brutalnych i barbarzyńskich ludzi, niż przez przyrodę, rozmaity, czasem miękką, żywą i barwną, czasem imponującą i potężną, to znów skarłowaciała — przygnębiająca i smutną, jak dusze tych, co musieli tam pędzić na wygnaniu „dnie, tak długie, — każdy jak trzy jesienie“¹⁾.

Kraina ta, zienawidzona przez białych przymusowych osiedleńców, była ukochaną ojczyzną dla trzech nielicznych szczepów tubylców, zaludniających tę bogatą w rybę i w zwierza wyspę, w stuletniej, miłośnie przez nich wspominatej przeszłości.

¹⁾ Przysłowie chińskie.

Pierwsi, z którymi się poznałem, trafiwszy dzięki zrządzeniom ślepego losu na Sachalin, byli Gilacy; oni też pozostali mi na zawsze najlepszymi, drogimi druhami, wspólnej niedoli. I dla nich, dla całego plemienia, dnie sławy, czasy świetnej, z ich punktu zapatrywania, przeszłości, minęły i już nigdy nie wróca... I oni, niedawni panowie piętrzących się wszędy gór, bystrych, przezczystych i wiecznie szumiących potoków, rzek-karmicielek, gęstych lasów tajemniczych, pełnych zwierza o futrach bogatych — oni dumni z panowania nad rozległą przyrodą — zostali zdeptani przez nowych przybyszów — utracili na zawsze, tak przez nich ukochaną swobodę.

Tę świadomość bezpowrotnej utraty samodzielności, drogiej i im prostaczkom, jednym z najmłodszych braci naszej wielkiej rodziny ludzkiej, tę beznadziejność czytałem nieraz w wyrazie smutku — tkwiącym głęboko w zapatrzonych w płomień ognia domowego, lub błędzących w przestrzeni, czarnych jak węgiel, gilackich oczach.

Wspólna, ciężka niedola, tylko rozmaicie odczuwana, jednakowa, szczerą i gorącą miłość dla Ojczyzny, kolebki naszego życia, zbliżyła nas i pokochaliśmy się. Z poza mego szarego chałatu z żółtym tuzem na plecach, który was odstraszał, bo widzieliście w nim okropnych zbójów, czyhających na wasze życie, mienie i cześć waszych niewiast, z poza innych ciężkich symbolów aresztanckiego położenia mego, odczuliście, wy, moi starzy przyjaciele, swym pierwotnym dziecięcym instynktem, że mogę wam szczerze współczuć i was pogardzonych, niezrozumianych, uważanych za „psów smrodliwych“ pokochać.

I garnęliście się do zamyślonego wciąż, bladego, a tak dziwnego dla was młodziana, szliście do niego długim nieprzerwanym szeregiem przez lat niemal 12, by usłyszeć słowo dobre, by otrzymać przyjacielską, zdrową radę, by się poskarżyć na ciężkie krzywdy brutalnych sąsiadów — białoliczych, by odpocząć wśród wypraw myśliwskich, posilić się i wyspać u tego przyjaciela, któremu daliście drogę i zaszczytne dla niego miano „starszego brata“, „AKAN“.

Biegły lata nieskończenie jednostajnie, jak krople rzęsitego deszczu, i smutne, jak płomyk zasypanego popiołem i wdeptanego w ziemię a płonącego przedtem drzewa.

Związek serdeczny nas łączący krzepł i rozszerzał się na coraz dalsze okolice. Jużśmy razem się cieszyli powodzeniem waszem w sezonach połowu ryb, i myśliwstwa, odczuwaliśmy radość, gdy zdrowe latorośle uszczęśliwiały rodziny i powiększały liczbę członków gasnącego waszego szczepu; smuciliśmy się razem, gdy śmierć unosiła do pięknego ale nieznanego „Mlywo“ tych, których zaliczaliśmy do naszych wspólnych przyjaciół; żebraliśmy razem u naszych „Panów“, by wykołatać pomoc w klęskach, grożących wam głodem, obmyślaliśmy środki, by zapobiegać szerzącym się epidemiom.

O dzięki Wam, bracia moi żóltolicy, dzięki za zaufanie i przyjaźń, które z żywego trupa, pożądanego śmierci, zrobiły napowrót człowieka hołdującego przedewszystkiem czynnej miłości dla ludzi. Dziękuję za otwarcie mi dusz waszych, za odsłonięcie mi tajników waszej trudnej, odmiennej, nieharmonijnej dla nas, ale wam drogiej ojczyściej mowy, za powierzenie niejednej tajemnicy, za chętnie objaśnianie waszych myśli i zapatrywań, za dzielenie się ze mną najdroższym skarbem, który wam pozostał i osładzać wam będzie ciężkie kajdany niewoli — waszemi pieśniami.

A Wam, drodzy rodacy z ukochanej Litwy, za którymi tęskniłem swe młodem, kochającym sercem, i tęsknię jeszcze i teraz, po latach dwudziestu kilku, — tę moją pracę poświęcam.

Literatura w ogóle, a szczególnie poezya, jest wierną towarzyszką zmiennych losów narodu. W swych pieśniach daje nam on wyraz swoich myśli, pojęć, uczuć, i swojej wiary — wykazuje swój charakter i odtwarza cechy każdej minionej epoki. Pierwotne plemiona posiadają swoją literaturę ustną, mają swe podania, baśnie, legendy i pieśni, które są zwierciadłem ich duszy. Jest ona u mało rozwiniętych plemion mniej skomplikowaną od naszej, lecz również wrażliwa i zdolna do tych elementarnych uczuć, które są wspólne całemu rodowi ludzkiemu, co pobudziły jednego uczonego do wyrzeczenia słów: „świat cały jest jednym krajem“.

Ciężkie warunki, które się wytworzyły, dla szczepów pierwotnych z chwilą wtargnięcia na obszary, uprzednio wyłącznie przez nie zajmowane, narodu o silniejszej i więcej posuniętej na-

przód kulturze, odbiły się ujemnie na ich twórczości poetyckiej. Materyalnie szczerp tubylców podupadł niezmiernie, koloniści wypalili lasy, niszczyli zwierza, odbierali lepsze tereny i tonie do połowu ryb, a nawet rabowali i okradali z tej nędznej chudoby, która przedstawiała ruchomą majątność tubylców. Psychiczna depresja wobec tak prędkiej i nagłej przemiany warunków życia, strach przed dumnym i brutalnym przybyszem, częsty głód, przygniatają umysł, ściskają żywą strunę serca Gilaków. I coraz trudniej dotrzeć do głębi ich życia, podsłuchać wcielone w estetyczną, poetyczną formę ich bóle serdeczne, ich marzenia, którym nawet oni sami coraz rzadziej puszczają wodze.

Dużo inteligentnych ludzi miało do czynienia z Gilakami, używając ich jako przewodników, lub ochronę podczas podróży i wycieczek naukowych po Sachalinie: lekarze, inżynierowie, oficerowie marynarki i urzędnicy. Chwalili oni zręczność, śmiałość i cnotliwość Gilaków, lecz wszyscy przekonani byli, iż na tak niskim szczeblu rozwoju ludzkiego stojący szczerp nie ma żadnej poezji. Wyraz temu pogładowi dawali niektórzy w swych notatkach drukowanych, a jeden z wybitnie znanych i odznaczonych medalami przez Naukowe Towarzystwo geograficzne uczonych wypowiedział publicznie na odczytanie, iż Gilacy stoją tak nisko duchowo, iż nic ich nie interesuje, poza zdobywaniem materyalnych środków do życia. Muszę się przyznać, iż sam w pierwszych czasach pobytu na Sachalinie ten błąd podzielałem. Bliższe zetknięcie i zażyłość ze szczerpem z zewnątrz bardzo niepociągającym, bo niechlujnym i cuchnącym, zapracowanym i mało wywnętrzającym się wobec obcych, dały mi inny pogląd na istotę tej rzeczy — pozwoliły zebrać sporą ilość utworów fantazyi plemienia, tej cudownej wróżki, która go unosi daleko od smutnej rzeczywistości, podnosi go duchowo i pomaga lżej znosić ciężką dolę ziemskiego żywota.

Rodzaje utworów literatury gilackiej są dość liczne. Przewszystkiem bardzo bogaty jest dział prozy, mianowicie „tylgund“ — podań, epicznego charakteru, przechodzących z pokolenia na pokolenie i zawierających cały arsenał wierzeń, przesądów, poglądów na zwierzęta i otaczającą przyrodę. Mniej liczne są historyczne opowiadania, tyżące się prawie wyjąt-

kowo ubiegłych, niezbyt nawet dawnych wojen, które się odbywały między poszczególnymi rodami, najczęściej na tle porwania kobiet, zabójstw i krwawej zemsty.

Do prozaicznych utworów trzeba też zaliczyć zagadki i nadzwyczaj lubiane przez dzieci i dorosłych igraszki słów (Ieren-tuhuś) dźwięczne, rytmiczne, a czasem ułożone z humorem, i nieraz dość cyniczne i pieprzne.

Dział poezji tworzą poematy „naštund“. Pełne mitologicznych zwrotów i kombinacji, lecz zawsze na tle najdziwniejszych opisów, przygód jednego bohatera-człowieka. Najwięcej jednak dramatycznych momentów uczuciowości bezgranicznej, to znowu lekkiego i łagodnego smutku, czasem dosadnych dowcipów, bezpośredniego humoru i satyry zawierają liryczne utwory „alachtund“, z którymi tym razem jedynie chcę zapoznać czytelników.

Gilacy dzielą swe „alachtund“ na stare i nowoczesne. Zasadniczej różnicy między nimi niema. I te i tamte zostały utworzone przez jednostkę pod wpływem silnego uczucia radości lub smutku i chęci podzielenia się nimi z rodakami w formie rytmicznej, w wyrażeniach pięknych, bogatych w alegorye, porównania, przesadny humor, sarkazm, najczęściej zaś malujących serdeczne bóle miłosne autora. Twórca starych pieśni po kilku pokoleniach jest zapomniany i chyba tam tylko pamiętają wszystkie szczegóły dotyczące się poety i opisanych przez niego osób, gdzie akcja cała miała miejsce.

Autorowie nowoczesnych pieśni są znani wszystkim, całemu plemieniu. Każdy z Gilaków przedtem, nim zaczynał mi dyktować piosenkę, objaśniał mi kto ją skomponował, pod wpływem jakiego uczucia i do kogo się ona odnosi. Miało to podwójne znaczenie: zanotowanie wiadomego faktu i chęć ostrzeżenia mię, bym nie powtarzał pieśni przy pewnych osobach. Zwyczaj ten wyjaśnię dalej.

Pieśni swe Gilacy śpiewają niezbyt głośno, prawie stale modulując gardłem i tylko czasem robią, dźwiękami wychodzącymi z piersi, przeciągane — póki nie zabraknie tchu, tęskne n u ty. Za głuchymi stłumionymi dźwiękami, trochę gardłowymi, idą pauzy odpowiadające końcowi jednego taktu. Brak odnośnych, głębszych i wysokich tonów, żywości, pięknych cieniowań i skomplikowanych przebiegów nie daje uszom Europejczyka najmniejszej przyjemności, utrudniają zrozumienie

treści podłożonej pod melodyę pieśni. Melodyjny układ będzie prawdopodobnie zapisany kiedyś przez specjalistów muzyków, którzy się interesują pierwotną muzyką. Przypuszczam, że budowa pieśni Gilaków jest najwięcej zbliżoną do dźwiękowania Chińczyków, którzy też śpiewają przykrym dla nas falsetem i ścieśnionem gardłem. Niektóre pieśni śpiewane są przy akompaniamencie biednej jednostrunnej skrzypki gilaskiej.

Treścią pieśni lirycznych, jak już zauważyłem, są najrozmaitsze odcienia i wyrazy uczuć miłosnych. „Alachtund“ nie noszą żadnego cienia zapożyczonego z folkloru sąsiednich szczepów, jak to czuć na innych poetyckich utworach Gilaków. One są przeciwnie objawem czysto Gilackim, najwięcej odpowiadającym indywidualnym właściwościom szczepu. Tylko u Gilaków miłość między dwoma osobami dochodzi do takiego nieraz stopnia, iż one wolą śmierć, niż życie w ciężkiem rozłączeniu. Położenie kobiety w rodzinie gilackiej jest bardzo upośledzone. Zostaje ona od dzieciństwa zaprzędaną do cudzego rodu i nigdy nie może pozostać wśród swoich, nie ma też prawa pokochać kogokolwiek z rodu swego ojca. Na takim smutnym dla kobiety tle wyrastają częste dramaty, doprowadzające nieraz do samobójstwa. Kobieta — zwykle bardzo młoda dziewczyna — poczuła wstręt do nieznanego dla niej domu i rodziny swego męża, dla którego była przeznaczoną przez rodziców już często w dzień swych urodzin, z rozpaczki wiesza się i przed śmiercią wylewa swój ostry ból duszy w pieśni. Dwoje kochanków, którzy nie mogą się pobrać, bo dziewczyna już obiecana drugiemu, postanawia jednocześnie się zabić, bo według wierzeń Gilaków, taka równoczesna śmierć połączy ich na stałe na tamtym świecie. Wreszcie bywają wypadki, że dziewczyna zakochała się w człowieku jednego z sobą rodu; dowiadując się o tem krewni i oburzeni z powodu strasznego wykroczenia zmuszają winną do samobójstwa. Pieśni te są najwięcej lubiane przez Gilaków, wogóle skłonnych do samowolnego skrócenia swego doczesnego żywota. W innych opisuje autor podróż do ukochanej, dając wiele barwnych opisów spotykanej przyrody. Tematem bardzo zwykłym jest tęsknota za ukochanym chłopcem, który długo nie przychodzi, lub przejeżdża mimo, a do oczekującej go kochanki nie wstępuje. Treścią innych pieśni jest prośba kobiety o zabranie jej z sobą, zwrócona do odje-

żdżającego daleko młodzieńca, który wpadł jej w oko podczas pobytu we wsi i t. d.

Podniecona dusza i umysł autorów pieśni szukają wyrazów dosadnych i silnych, starają się upiekszyć mowę subtelnymi i zręcznymi zwrotami, ile stać ich na to.

Oto są niektóre częściej używane poetyckie zwroty: „dźwięki krzyku podnoszą się do wierzchołków topoli“; „echo szczekania psów roznosi po otaczających górach“, „łzy cieką po kolei to z prawego to z lewego oka i padając na kolana lub na obuwie, lub na ziemię, wydają dźwięki, jakie robi ulewny deszcz“. Nieraz zamiast łzy z lewego oka mówią „lewe łzy“. W patetycznych chwilach lewe i potem prawe kolana odmawiają posłuszeństwa i stać człowiek nie może. Ręce też bezwładnie się opuszczają i śpiewający nie może wiosłować, zapytuje: „jakże ja przez rzekę przejadę?“ Zasmuconemu gardło się ściska, bierze wodę, ale nie może jej wypić, wylewa mu się ona na ziemię. Pod wpływem uczucia wstydu kobieta nie chce patrzeć na ludzi i pyta się, gdzie skryje swoje oblicze? „Morze i noc nazywają wielkimi, ścieżkę — szeroką i powróż — „potrójnie zwitym“. Swą kochankę porównywa poeta z kwiatkiem irysu, który Gilacy uważają za najpiękniejszy z kwiatów swego rodzinnego kraju. Policzki kochanki są porównywane do kory brzozy, bo biała i lśniąca cera jest oznaką piękności. Głowę ukochana skłania na jeden bok — wyraz gilackiej kobiecej gracyi. Jej warkocz jest rozpleciony. Z tęsknoty kochanek nie wie co robić, — myśleć nie chce i zapytuje co ma robić, ani jeść, ani kłaść się, ani spać, ani pracować nie ma ochoty i „ciebie jedną uczyniłem przedmiotem swych chęci“. „A ty, woła, czy pamiętasz o mnie, gdy dokoła ciebie dużo ludzkich oczu“?

Dopuszczalne są i żartobliwe, nie obrażające zwroty: O wiosłującym mówi kochanka przesadnie, że uderza za każdym nachyleniem się naprzód i w tył o ławeczki łódki — z taką siłą wiosłuje. Innym razem poetka prosi, by ulubieniec jej szedł ostrożnie po podłodze jurty i nie złamał desek, bo gdy szedł z brzegu morza do mieszkalnych domów, to nogi wciskały się do połowy goleni w piasek, a więc z nadzwyczajną siłą i pewnością, co jest cechą śmiałych i słynnych myśliwych. Żarty bywają i więcej ostre np. „pókim słyszała tylko twój głos, wydawałeś mi się dobrym człowiekiem, a gdym ujrzała oczami,

to przestałeś mi się podobać". Mężczyzna zaś wyśmiewa war-kocze swej ukochanej porównywując je z pałeczkami zastępu-jącymi widelce, i dodaje „nie uśmiechaj się do mnie, nie mru-gaj i nie patrz na mnie, bo ja inną Kocham". Inny mówi, że nogi ukochanej są „cienkie jak u komara“, a „twarz płaska jak deska“. W opisach przyrody spotkać można też obrazo-wość, nieużywaną w języku prozaicznym. Np. mętną wodę w rzece porównują z zupą z mięsa, szybkość potoku — z obręczem, którym dzieci i młodzież lubią grywać latem. Duża wieś jest podobną do gęstego lasu, czysta polanka wśród za-rośli do rozpostartej maty. Drzewo, do którego zostały przy-wiązane psy podczas jazdy, kołysze się i nagina wierzchołkiem do ziemi i t. d.

Poecie gilackiemu brakuje wielu cech, któreśmy przyzwy-czaili się uważać za nieodłączne u nowoczesnego twórcy lite-rackiego. Brak mu wrażliwości na cudze bóle i smutki, zrozu-mienia cudzej duszy. Zaledwie w kilku piosenkach udało mi się napotkać zwroty, w których poeta maluje stan duchowy innych ludzi. Życie prostsze, równiejsze, brak podziału na klasy i róż-norodne warstwy społeczne, nie daje materiału do odczuwania nieszczęść społecznych, niesprawiedliwości wynikających ze ście-rania się dwóch różnych światów w jednym narodzie. Poeta nie wyrasta nadmiernie z pośród swego otoczenia i nie czuje się duchowo osamotnionym i niezrozumianym. Nie męczą go py-tania nierozwiązalne o celu życia, nie zna on sporów dwóch różnych pokoleń, dwóch kierunków duchowych. Poeta nie uczuwa tęsknoty do swego rodzinnego otoczenia, nie jest oderwanym od życia, do którego przyrósł, nie czuje się wyrzu-cony na nieznane fale morza ludzkiego. A więc niema wśród pierwotnego plemienia poetów-tytanów, którzy by przodowali mu w ideowej walce o nowe zasady życia i podnosili gorący protest przeciw niesprawiedliwościom, zsyłanym przez ślepy i często okrutny los. Poeci Gilaccy są nieraz jeszcze więcej przesiąknięci biernym stosunkiem do otaczających zjawisk ży-ciowych, niż przeciętny człowiek ich plemienia. W miłości np. inni rozcinają trudny węzeł śmieiej, bo porywają ukochaną chociażby należąca już do innego i narażają się na dłuższe kłótnie i czasem krwawy porachunek; poeci zaś wzdychają, śpiewają, tęsknią, lub kończą romans wspólnem samobójstwem. Wybitny poeta gilacki jest jednocześnie albo szamanem albo

bardem, pieśniarzem swego plemienia. Jest to natura wybrana, władająca pięknym, dźwięcznym głosem o większej nad przeciętną skali, dużą pamięcią, odznaczająca się ruchliwością i wrażliwością posuniętą do histeryi, lub skłonnością do samotności i zamyślenia się; zdolna do ekstazy, wierząca w swe posłannictwo i lubiąca je więcej ponad inne zajęcia, połączone z materialną stroną życia.

Chcę dać tutaj kilka sylwetek poetów-pieśniarzy, z którymi się bliżej żyłem. Zacznę od mego pierwszego przyjaciela Niśpajna. Poznałem go jeszcze jako chłopczyka lat 14—15, gdy oprowadzał swego starego ojca na wpół żebraka, na wpół szamana, (w którego swoi mało wierzyli) po wioskach zamieszkałych przez osiedleńców. Skromnie siadał on na podłodze izdebki, do której puszczano szamana, by powróżył o przyszłości ludziom stęsknionym do lepszej doli. We wszystkich blagowaniach ojca nie brał żadnego udziału i mnie się zdawało, iż jego rzetelna natura wstydziła się tego narzucania się i jawnego oszustwa. Po kilku latach Niśpajn wyrósł na młodzieńca zgrabnego, i nadzwyczaj wrażliwego. Po śmierci ojca rozpoczął swą karierę barda... Nie miał stałego mieszkania, bo nie pogodził się z jedynym starszym bratem, przechodził natomiast z jurty do jurty, gdzie go żywiono w zamian za odbywające się nocami opowiadania podań, legend, śpiewanie poematów i pieśni. Zamieszkał on i u mnie, by podyktować mi znane mu utwory ducha swego szczepu. Charakter miał tak łagodny i subtelny, jak dobrze wychowana, uczuciowa panienka. Życie po cudzych domostwach nauczyło go zależności i usuwania swej jaźni na plan drugi, do czego Gilacy w ogóle są bardzo mało zdolni. Nie miałem też z nim najmniejszego kłopotu. Dyktował opowiadania dobitnie, z wielką uwagą, używając wyrazów barwnych, zawsze zachwycających jego współrodaków. Zapalał się podczas tej pracy tak, iż ja czułem się wyczerpany zawsze wprzód od niego i przerywałem, potrzebując odpoczynku. On zaś rozentuzjazmowany szedł do kuchenki, lub usiadał u mnie na podłodze, i rozpoczynał swą ulubioną muzykę na niedużej — drewnianej lub żelaznej drumli, które zawsze miał przy sobie w zanadrzu. Drżące, ciche, najczęściej żałosne tony odpowiadały jego rozmarzonej duszy. Nigdy mi nie opowiadał o swych planach gospodarczych, które zwykle absorbują już młodzieńca-Gilaka. Znałem za to cały szereg jego romansów,

które go do głębi poruszyły i w każdej danej chwili stanowiły główną treść jego biednego życia.

... Akan! poradź mi, — zwrócił się raz u jednego do mnie, przyszedłszy w gościnę po długiej niebytności. Jąbym chciał się ożenić z Rosyanką. Dalej wyjaśnił mi, że już od kilku lat zna dobrze dziewczynę — chromą, córkę osiedleńca z dalszej wsi, u którego i ojciec się zatrzymywał i on nocuje, podczas przejścia z doliny Tymi (gdzieśmy obaj mieszkali), na brzeg morza. Zawsze była ona dla niego grzeczną i uprzejmą, wyróżniając się tem z pośród innej młodzieży osiedleńców, która zawsze gotowa jest skrzywdzić Gilaka lub złośliwie z niego żartować.

Wskazałem całą niedorzeczność jego zamiaru i wreszcie powiedziałem mu, że dla połączenia się w małżeństwo potrzebna jest wzajemność dziewczyny. Upewniał mię wówczas, że mocno wierzy w jej przywiązanie i że ma na to niezbite dowody. Gdym zaś podawał je w wielką wątpliwość, przyznał się z nieśmiałością dziecka, że chroma biała przyjaciółka pocałowała go w twarz, gdy zostali w izbie sam na sam. Ta pieśszcota, stosowana według obyczajów Gilaków tylko do małych dzieci a w związku mężczyzny i kobiety mająca miejsce tylko w chwilach największego zbliżenia, niedopuszczalnych dla cudzego oka, paliła młodego marzyciela, wzburzyła całą jego istotę. Udało mi się wyjaśnić znaczenie pocałunku u rasy białej i przekonać go, że córka osiedleńca wykazała więcej swawoli niż prawdziwie głębokiego uczucia.

Wkrótce też zapomniał już o powabnej cudzoziemce i zakochał się w młodziutkiej żonie jednego z dobrze mi znanych Gilaków. Znowu przybiegł do mnie na poradę. Chciał się ochrzcić ze swą ukochaną, by takim sposobem uniknąć możliwej walki i napaści ze strony męża i jego krewnych, w razie gdyby porwał i uwiódł do siebie przedmiot swojej sympatii. Zabroniłem mu stanowczo tego wykrętu, któryby nałożył w oczach jego plemienia piętno już niezatarte, będąc też pewnym, że żaden kościół chrześcijański nie może się szczyścić nabytkiem członka, co stracił cnoty swojej uprzedniej wiary, a nie przyswoił zalet nowej. Wkrótce młody poeta zmarł przedwcześnie, a przyczyną była znowu kobieta. Według obyczajów Gilaków po śmierci starszego brata stał się właścicie-

lem jego żony. Od niej Niśpajn nabawił się ciężkiej choroby i poszedł wkrótce za swym bratem w smętną krainę „Mlywo“.

Drugi — bajarz, pełny natchnienia i zamiłowania do poezyi, którego bliżej poznałem, był dopiero podrastającym młodzieńcem lat 15—16, nazwiskiem Koinyt, który po kilku latach stał się czarodziejem, mającym stałe stosunki z dobrymi i złymi bogami za pośrednictwem swych pomocniczych „szamańskich“ duchów. Biednego sierotę krewniacy przysłali pewnej głodnej zimy do mnie i mego przyjaciela i towarzysza zesłania P. L. Szternberga, który mieszkał wówczas ze mną i równocześnie pracował nad filologią i folklorem Gilaków. Ponieważ u mnie już mieszkał rówieśnik Koinyta, mój uczeń Indyn, więc obaj czuli się nadzwyczaj zadowoleni. Koinyt wyładowywał codziennie ogromne zapasy swej bogatej pamięci, dyktował pieśni, podania, objaśniał pojęcia religijne i obyczajowe swego szczepu tak, jak słyszał od swego zmarłego ojca, znakomitego niegdyś szamana. W przerwach bawił nas muzyką, pokazywał jak kobiety gilackie tańczą, jak zabawiają dzieci i t. p. Wszystkie jego opowiadania były połączone z odpowiednimi giestami, trudno mu było wysiedzieć spokojnie nawet przez kwadrans. Zdolność do naśladowania miał tak wielką, i potrzebę jego stałą, że miejscowy młody lekarz zauważywszy to — przychodził do mnie umyślnie by robić doświadczenia, nie dając tego poznać młodemu poecie i przysłemu szamanowi. Koinyt uważnie przysłuchując się mojej rozmowie z lekarzem — zakładał tak samo nogi, robił te same ruchy, zapalał tak samo papierosy, i jednako wypuszczał dym i zawsze robił to bezwiednie, ale z wielką dokładnością. Niejednokrotnie ucieszył mię szczerze, gdy chodził za mną takimi samymi krokami po pokoju — zakładając tak samo jak ja ręce w tył, to krzyżując je na piersi, lub siadał u stołu podparwszy głowę na łokciu i robiąc podobną do mojej zamyśloną minę. Nie wiem tylko po czem on w tych chwilach tęsknił. Na każdy mój śmiech odpowiadał bezgraniczną wesołością.

Gdy był swobodny wieczorami, kładł się na podłodze w ciemnym pokoju i śpiewał godzinami poematy piękne i długie — swemu przyjacielowi Indynowi lub komu z nocujących u mnie Gilaków. Razu jednego późnym wieczorem zbudził się ze snu, wskoczył i przeraźliwie krzycząc i machając rękami począł improwizację. Zbladły z wyrazem przerażenia, a nawet

bolu robił wrażenie nieprzytomnego, a jednak towarzysz Indyn wszystko rozumiał; był to nowy poemat stworzony wybujałą jego fantazyą. Gdy zmęczony, wyczerpany niezwykłym wysiłkiem nerwowym upadł na swą pościel, Indyn objaśnił nam: „Już teraz napewno Koinyt nie będzie zwykłym Gilakiem, „Kiechn“ (tj. duch szamański) zmusza go być mu posłusznym“. W kilka lat później młody pieśniarz zdobył uznanie i sławę szamana; również wykształcił się jako bajarz i dawał mi znać gdym wyjechał już z Sachalinu, że gotów jest przyjechać do mnie do Władywostoka, by podzielić się nieznanymi mi podaniami, pieśniami i skomponowanymi przez niego nowymi poematami.

Dar improwizacji jest cechą każdego utalentowanego poety gilackiego. Pamiętam jeden zimowy wieczór na Sachalinie, gdym w roku 1899 zamierzał porzucić to miejsce mego zesłania i przyjechałem do wsi Rykowskiej pożegnać się z ludźmi, z którymi przeżyłem lat 12. Kilka poetek gilackich wśliznęło się do pokojczku, gdzie się zatrzymał i układał w wilię odjazdu rzeczy i podyktowały mi pożegnalne pieśni tutaj przy mnie skomponowane. Jedną z nich starszka, nadzwyczaj rozumna, poważna matrona kierująca sporą rodziną, a nawet i mężem, dzielnym rnyśliwym i rybakiem, ale człowiekiem słabego charakteru i ustępującym we wszystkim swej mocnej duchem małżonce. Wiedziałem o niej, że w młodości tworzyła, pieśni jej kursowały wśród Gilaków, miałem i ja zapisanych kilka, lecz od niej samej nigdy nic usłyszeć nie mogłem. Nie licowałoby to z jej powagą, gdyby się zajmowała takimi drobiazgammi, jak pieśni. Musiałem nawet zawsze pamiętać, by czasem nie przeczytać którą z jej piosenek w obecności jej synów, bo i ci czuliby się bardzo zawstydzonymi. Dla uniknięcia przykrej sytuacji i dla siebie i dla mogących się obrazić Gilaków, na marginesie każdej piosenki zapisanej musiałem notować i imiona tych, przed kim powinna ona być zatajoną.

Poezyę swoją Gilacy bardzo lubią, lecz uprawianie jej zawodowe pozostawiają jednostkom niezdolnym do życia praktycznego, nieumiejącym zdobyć powodzenia i materialnych wygód. Razu pewnego zanocował u mnie bogaty na całą okolicę Gilak; byłem rad, że uda mi się zapisać piosenkę, któraby charakteryzowała gust dobrze się mającego i prosperującego w życiu człowieka. Lecz na moje usilne prośby Gilak na wpol

ucieszony — na wpół obrażony roześmiał się i dał mi porządną nauzkę.

„...Co ty?! — Co ty — mówił mi, rozpytuj się u mnie, jak, kiedy i gdzie łowić rybę, polować na zwierza, o hodowli psów, budowie jurty letniej i zimowej, to ci opowiem, ale te bzdurstwa mojej głowy się nie trzymają. Ja nawet się dziwię, że ty, taki rozumny człowiek, a tymi głupimi pieśniami się interesujesz.

Przestała też czuć pociąg do poezyi niegdyś młoda, wypieszczona w domu bogatej rodziny Gilaczka, która w pieśni groziła, że się udusi powrozem we troje zwitym, jeżeli przyjedzie po nią nielubiony narzeczony, przeznaczony przez jego i jej rodziców. Wyszedłszy za wybrańca swego serca, poetka przejęła się misją żony, matki, gospodyni tak gorliwie, że zasłynęła, jako dzielna, pracowita, gospodarna głowa rodziny. Była tak wymagająca od innych kobiet, że dwie jej synowe uciekły, nie mogąc zadość uczynić stawianym ideałom skromnej i niczem oprócz pracy dla domu niemyślącej — cnotliwej kobiety. Los słabej pięknej połowy rodu ludzkiego jest tak ciężki u Gilaków, że indywidualne cechy kobiet zacierają się, nikną. Te zaś, co się nie dają zgnieść i zupełnie podporządkować wymaganiom surowego patryarchalnego rodu gilackiego, uciekają od życia ziemskiego, wierząc, że w innym nieznanym świecie będą odrobinę szczęśliwsze.

Jednakże znałem dwie kobiety, które po zamążpójściu zachowały swe upodobanie do poezyi. Obie były bardzo biedne, i już dlatego nie zażywały wielkiego szacunku u rodaków. Życie szczególnie jednej z nich było nadzwyczaj gorzkie. Obiecana przed śmiercią ojca jego przyjacielowi, mogłaby być córką swego starego męża, który wychował ją i jej rodzeństwo, lecz prędko zniedołężniał i nie był zdolny do pracy. Ponieważ ród jego na Sachalinie wymarł, więc nie miał od swoich pomocy i prowadził żywot żebraka. Nieszczęsna kobieta nie tylko pracowała o ile mogła na swego niezaradnego męża, lecz miała zawsze dużo kłopotu z rodzącymi się, ale niedługo żyjącymi przy ich nędzy dziećmi. Pomimo swych smutnych przeżyć zachowała subtelność uczuć, łatwość unoszenia się ponad otaczające ją życie codzienne na skrzydłach swej fantazyi, dobrą pamięć i piękną wymowę. Ona nie tylko nie wstydziła się swego stałego obcowania z powiewną Muzą, lecz uważała to za swą

chlubę, wyróżniającą ją z pośród innych kobiet przywiązanych niejako do ciepłych i sytych ognisk domowych. W swej poezjonalnej piosence, skomponowanej w wilię mego odjazdu nie zdradziła się ani jednym słowem, że żałuje mię jako człowieka „karmiciela i dobroczyńcę“, co było głównym motywem w pieśniach dwóch innych staruszek. A wszak dla żony żebraka nie-duża pomoc materyalna z mojej strony miała większe znaczenie, niż dla jej lepiej uposażonych towarzyszek. Wypowiadała swe przekonania, że ona i Gilacy będą mię częściej wspominać, przechodząc mimo mego domku, w którym już inni obcy dla nich zamieszkają, a ja w dali od nich, mając w około siebie dużo nowych znajomych, zapomnę i nie będę wiedział, czy kto z nich zamarźnie, lub z głodu umrze. Jedyny sposób przypomnienia sobie mych przyjaciół to zapisane pieśni i prosi mię, bym je czytał w różnych miastach, młodym i starym, bym „pokazywał jej duszę, ale bez ciała“.

Wkrótce ziściły się życzenia mej poetycznie nastrojonej przyjaciółki. Wyjeżdżałem z Sachalinu zimną porą, by przedostać się przez zamarzną cięśninę Tatarską na stały ląd do miasta Nikolajewska, leżącego u ujścia rzeki Amura. Po drodze zatrzymywałem się w każdej osadzie gilackiej, by się zapoznać z jej mieszkańcami, ale przeważnie bym zadowolnić życzenia ich i przeczytać im zebrane przezemnie podania i pieśni. Nigdy nie będę prawdopodobnie miał więcej wdzięcznego audytorium. Gdy rozpoczynałem swą rolę gilackiego barda otoczony gęstą masą więcej ciekawych młodzieńców, zaglądających do dziwnych dla nich znaczków, które miały odtworzyć ich rodzinną mowę, głęboka cisza zapanowywała w jurcie. Starzy wyteżali słuch wyciągając szyję, lub stopniowo w czasie czytania zbliżając się do mnie, kobiety przerywały swe czynności gospodarcze, uspakajały dzieciaków i zdziwione nie spuszczały z oczu ani jednego ruchu mych ust. Barwne jaskrawe ustępy wyzywały homeryczny śmiech i szczerą radość, przerywane wykrzykami zachęty i pochwały. Podniecenie słuchaczy było tak wielkie, iż zupełnie zapomniano o gasnącym ogniu, o potęgującym się na zewnątrz chłódzie, lub o gwizdzącej i grożącej zasypianiem chaty śnieżnej zawierusze. Podróż moja, którą zwykle odbywają w ciągu 5—6 dni, trwała całe dwa tygodnie. Po ukończeniu jej, gdym się zamyślił nad ukończonym już 12-letnim okresem swego życia, i nad otwierającą się nademną niepewną

drogą, gdy przypomniał kilka ostatnich wypadków odmowy przyjęcia odemnie jakiegokolwiek wynagrodzenia za rybę, herbatę i nocleg, ponieważ uważano mię za swego rzetelnego Gilaka — chciałem przez chwilę wrócić do zasypanego w ciągu pół roku śniegiem smutnego kraju, do mych wymierających — zgębionych przyjaciół i nieść im tę pochodnię, która oświecła i ogrzewa ciemne i zimne ścieżyny życia ludzkiego.

Zbyt słabe były me duchy opiekuńcze, które, według twierdzeń Gilaków, są dane ich pieśniarzowi-poeecie. Pociągnęły mię inne cele, widoki i przyjemności szerszego życia. Zostali zaś wierni swemu powołaniu ci, którzy wybrani przez ślepy los, rozstają się z życiem, skoro ich opuści opieka ducha, kierującego ich twórczą fantazją.

Duch, który daje natchnienie poetyckiej improwizacji, znajduje się na samym końcu języka i łatwo może ulecieć zrobiwszy tem ogromną szkodę pieśniarzowi. Dla tego słuchacze poczuwają się do obowiązku wciąż go podniecać wykrzykami.

Niezatarte wrażenie zostawiła w pamięci mej jedna noc podczas podróży z południa Sachalinu na północ. Jechaliśmy na dwóch łódkach ja, trzech Oroków i czterech Gilaków po rzece Poronaj, rozpoczynając jazdę od jej ujścia. Już 12 dni byliśmy w drodze, zatrzymując się na dwie doby z powodu deszczu. Zbliżyliśmy się wreszcie do najbliższej osady rosyjskiej, skąd już dalej wędrówkę można było odbyć pieszo. Postanowiliśmy jednak przebyć i tę ostatnią noc w gęstym lesie jodłowym, korzystając z pięknej lipcowej pogody. Obawiano się jednak bliskiego sąsiedztwa osiedleńców, możliwości zjawienia się włóczęgów lub złodziei i postanowiono nie spać, dopóki nie zacznie świtać. Po kolacyi rozmowa, którą prowadziliśmy, stawała się coraz mniej ożywioną i już niektórzy z nas zaczęli zasypiać, siedząc — zmęczeni całodzienną pracą. Wówczas przyszła komuś myśl, aby skłonić młodziana umiającego wiele poematów do śpiewania ich, i w ten sposób rozprószyć ogarniającą wszystkich drzemkę. Pieśniarzowi urządziliśmy mały namiot, kilku usiadło obok niego, inni usadowili się przy wejściu do namiotu. Tylko ja i jeden z Oroków, który nie rozumiał po gilacku, mieliśmy spać pod dużą jodłą. Wkrótce zaśnąłem przy monotonnym, gardłowym śpiewie Gilaka. Budziłem się często i za każdym razem dolatywały do mych uszu

to donośne recytatywy, lub pełne grozy zawołanie śpiewaka — to znów okrzyki zachwytu słuchaczy, gdy śpiewający zniżał ton i na sekundę robił pauzę, by nabrać do płuc powietrza. Noc już pierzchła, na wschodzie ukazały się smugi światlejszego nieba. Ja i Orok krzątaliśmy się około przygotowania herbaty, a nocny koncert wciąż jeszcze trwał bez wszelkiej zmiany. Zamyśleni słuchacze nie zwracali na nas najmniejszej uwagi, przejęci szczerze losami bohatera, o którym śpiewał młody Gilak, leżący pod namiotem na plecach z podłożonymi pod głowę rękami. Gdy wreszcie pieśniarz wyczerpanym głosem dośpiewał ostatnie słowa epilogu, podniósł się błądź ze zmęczenia i wzruszenia, milcząco wypił herbatę i nie prędko rozpoczął rozmowę ze mną i ze swymi towarzyszami. Zdawało mi się, gdym mu się przypatrywał, że on wciąż jeszcze żyje wśród tych nadzwyczajnych awantur, cudownych zdarzeń i zjawisk, ciężkich smutków i niebezpieczeństw, których jest pełne życie opiewanego w poematach zwykle samotnika-bohatera.

Niżej podaną pieśń samobójczyni prześpiewała mi jedna staruszka, którą uważano nawet za szamankę, pewnego lata, gdym zanocowałem u mieszkających w pobliżu odemnie Gilaków. Wszyscy się poukładali już do snu, rozciągnawszy się na szerokich pryzkach, przykryci odzieżą przeważnie tą samą, którą we dnie byli ubrani. Ogień na ognisku zgasł. Światło młodego księżyca przedostawało się przez otwór dymowy w dachu i oświetlało kilka głów leżących na krawędzi prycz. Jedna z leżących postaci rozczochrana — siwowłosa (bo staruszka nosiła żałobę po mężu i nie spletała warkoczy) zaczęła głośno-rytmicznie śpiewać; „Milk ruwun lund“ (siostra Milka śpiewa), szepnął mi leżący koło mnie młody mój przyjaciel. Rozmowy, które do tej chwili dawały się słyszeć, to w jednym to w drugim kącie szczelnie wypełnionego mrowiska ludzkiego, ucichły. Z zapartym oddechem łowiono donośne śpiewanie, czasem tylko zniżające się do cichego szeptu, lub upodobniające się do przytłumionego i przeciągłego płaczu. To z jednego, to z drugiego kąta odzywały się wykrzyki zachęty, wskazujące śpiewacze, że słuchacze nie śpią, interesują się jej śpiewem. Te bodźce widocznie na nią działały, bo śpiew nabierał siły, sprężystości, tempo się przyspieszało, cieniowania były jaskrawsze, wyrazistsze. Księżyc już zaszedł, znikły cienie i smugi nikłego światła, padające na środek jurty. Przez otwór jej mo-

głem widzieć kilka migających się gwiazdek na skrawku czy-
stego ale ciemnego nieba. Żałosne tony wychodzące z piersi
staruszki odbijały się o dach niedużej jurty i opadały na pół-
kole ludzkich głów, zwróconych ku ognisku. Natężona uwaga
nie słabła, dochodziły do mnie słabe westchnienia więcej czu-
łych słuchaczy. Ukolysany jednostajną melodyą przeciągłego
śpiewu — łagodnym szmerem pobliskiego bystrego potoczku,
jakby spieszącego w objęcia spokojne swej matki-rzeki, przy-
słuchując się zrywającemu się chwilami jedwabnemu szelestowi
wierzchołków olbrzymich topoli, zasnąłem, nie umiejąc dotrzy-
mać kompanii mym dobrym gospodarzom.

Nazajutrz uprosiłem nocną koncertantkę aby podyktowała
mi pieśni, która dała słodki pokarm duszom spracowanych
połowem ryb jej krewnych. Usiedliśmy pod krzakami dzikiego
bzu, otoczeni zaciekawionymi, zamorusanymi dzieciakami i oto,
com zapisał ze słów staruszki-śpiewaczki.

Na brzegu morza w miejscu, gdzie teraz wyrosła najwięk-
sza osada rosyjska, tak zwany Aleksandrowsk, niegdyś wśród
gęstego lasu modrzewiowego stało kilkanaście jurt gilackich;
była to wieś Rui. Lat temu 50, śpiewaczka, będąc 10-letnią
dziewczynką, żyła tam u krewnych i zaprzyjaźniła się z młodą
zaledwie 15 lat liczącą kobietą, żoną jednego bogatego Gilaka.
Zaprzędana od dziecka musiała żyć z człowiekiem, który był
dla niej wstrętnym. Nie umiała ukryć swej niechęci do męża,
który się gniewał i nawet parę razy ją uderzył. Nie mogąc li-
czyć na pomoc swych krewnych, bo ojciec porzucił ją i matkę
jej zupełnie, postanowiła się powiesić. Przed śmiercią zebrała
swe towarzyski, przeważnie niezamężne dziewczynki, i prześpie-
wała im swą smutną pieśń łabędią. Tego samego dnia prze-
cięła swą krótką a ciernistą drogę życiową. Oto pieśń ta, jak
ją zapamiętała szamanka :

Pieśń młodej samobójczyni¹⁾.

— Jest jedno drzewo modrzewiowe równe i wysokie.
Gdy poszła po trawę, którą wkłada się do obuwia,
Drżało drzewo moje od wierzchołka, aż do korzeni
I po ziemi smagało swemi długimi gałęziami.

¹⁾ Pieśń podaję w opracowaniu literackim p. C. D.

Na szczyt jego popatrzyłam w górę.
 Tyś już podobne do mrącego człowieka.
 Jeszcze dzisiaj patrzę na ciebie, lecz to już koniec.
 Zda mi się, że ciągle na mą szyję patrzysz,
 Może wiesz, że na potrójnie zwitym sznurze chcę się powiesić na
 [tobie.

Kapią łzy z oczu i w ziemię padają...
 Niatyn hoško! ¹⁾ (ach je-jej!)
 Odwróciłam się, by powstrzymać głośny płacz.
 Lecz znowu płynęły łzy i padły na ziemię.
 Snop trawy, który zeżełam, rozwiązał się z szelestem.
 Nasmarzyłam na ogniu ryby, chciałam jeść,
 Lecz w gardle mię ścisnęło i jeść nie mogłam.
 Zgotowałam też herbaty, pić chciałam —
 Lecz ani pić, ani jeść nie byłam w stanie.
 Pójdę z powrotem, do domu wrócę — wejdę do jurty,
 Wciąż o tem myślę, że zabić się muszę.
 Jedną chęć tylko uczuвам — by się uwiązać u swego modrzewia.
 Yj-je-je-hoško! (Ach je-jej!)
 Moja starsza siostra nie zechce mię puścić:
 Nie mów ty mi, że mię szkoda. Swój mały nożyk wezmę, gdy się
 powieszę... ²⁾

Lewy warkocz rozwiążę i na grzebieniu siądę³⁾.

Tak zabiję się.

Moja matka i siostry jej, i żony stryjów moich,
 Gdy o mnie usłyszą, płakać będą i przyjdą tutaj by mnie zobaczyć.
 Z Mli-wo ⁴⁾ już tylko głos mój usłyszą.
 Przysłuchiwać się będą jak ja płaczę i śpiewam.
 Gdy gardło mnie zaboli, ukrećę fujarkę trzciniową i grać będę.
 Słuchajcie moich smutnych pieśni!
 Yj jaje hoško! (Och jee-jej...)

Wbrew dotychczasowym nawykniom, do Mliwo jedynie myśli swe
 [kieruję...

Uj jaje hoško! (Ach jee-jej!)

Gdy rybę przyrządzicie, sami ją jeść będziecie,
 To zadowolenie waszem już tylko będzie ;

¹⁾ Okrzyk smutku w utworach lirycznych.

²⁾ Nóż bierze z sobą samobójca — by przeciąć sznur i oswobodzić swą duszę.

³⁾ Samobójczyni chce wziąć z sobą grzebień, jako rzecz niezbędnego codziennego użytku.

⁴⁾ Nazwa zagrobowego świata, znajdującego się w ziemi.

Moje zaś wnętrzości żaby ¹⁾ napełniać będą.
 (Yj jaje-hoško!) Och jee-jej! —
 Moja droga Matula zapłakała i wyszła z domu.
 Czemu mnie tak żałujesz Matko?
 Znow zapłakała i do jurty weszła.
 Ale z tęsknoty za mną nie powiesi się ona — siebie jeno żałuje
 [płacząc-

Jadąc tu do mnie tak śpiewać będzie:
 »Przeciw biegowi bystrej wody popłynę,
 by swą córkę zobaczyć —
 Gilacy mię powiozą —
 (Yj-jeje-hoško!) Och jee-jej!
 Głos mego płaczu rozlegnie się w dolinie
 I wyżej i niżej słyszeć mię będą.
 We wszystkie strony echo się rozbiega,
 Wewnątrz gór i pod nimi się odbija.
 (Yj jeje-hoško!) Och jee-jej!
 Powiozę ją z sobą sukę moją Tlacr ²⁾
 i na córki mej grobie zabiję.
 (Yj jeje hoško!) Och jee-jej!
 Ni jeden pies mi już nie zostanie.
 Biedna jestem:
 nie mam w co przystroić córki —
 (Yj jeje-hoško!) Och jee-jej!
 I jadła niema na stypę pogrzebną,
 i materyi nie mam by uszyć córce nową suknię,
 Nic nie mam.
 (Yj jeje hoško!) Och jee-jej!
 Mąż mnie porzucił — nie miałaś ty ojca,
 Samam cię chowała — sierotę.
 Jakże trudno było wychować moje drogie dzieciątko!
 (Yj jeje hoško!) Och jee-jej!
 Sama musiałam chodzić szukać pożywienia,
 bo ojciec ją porzucił.
 Chodziła wszędzie, by przynieść cokolwiek
 i nakarmić dzieciątko.
 Ciężko ją było wyhodować.

¹⁾ Gilacy wierzą, iż samobójca chodzi, błąka się po błocie i żywi się żabami.

²⁾ Nazwa psa.

(Yj jeje hoško ! Och jee-jej!
Wzdłuż rzeki jeżdżąc do wiosek wyżej i niżej położonych
zbierałam kęski do misy swojej — robiąc ją cięższą
i tem swe dziecko karmiłam.
(Yj jeje hoško!) Och jee-jej!
Hodowałam na to, by oddać błotnistej wodzie.
(Yj jeje hoško !) Och jee-jej«...

Chciały się krewne moje o mnie czegoś dowiedzieć —
teraz się prawdy dowiedzą, że w Mly-wo przebywam
stamtąd mój głos usłyszą.
Ty siostró moja starsza, weź zamiast mnie psa — któregom wy-
[karmiła,
Psa, który ma każde oko innego koloru.
A zawiadom krewnych moich, żem się zabiła.
A wy ojcowie moi, kociół, który za mną dali — trzymajcie,
bo wiem, że mąż i jego krewni zechcą go odebrać
Od was po mojej śmierci ¹⁾
Nie oddawajcie go! —
Siostró, tam, gdzie mię pogrzebiecie, rzućcie za mną kolczyki duże!
Wszak więcej nic nie mam, cobym z sobą wziąć pragnęła.
Nożyk mój, którym rybę sprawiałam, rzućcie też na mą mogiłę,
[złamawszy go.

Oto już pojedę dalej. Do łódki usiadłam, a kolana gną się podemną.
Na dziobie łodzi ustać nie mogłam.
Moja cieniuchna żerdka łożowa gnie się, gdy się nią podpieram.
Słuchaj ojcze, gdy jechać będę, usiadę w łódce i zaśpiewam.
Chyba mię dzisiaj pożałujesz — gdy się zabiję.
Nie zobaczysz ty mię więcej. Jutro już żyć nie będę.
Lewy warkocz rozplotę i zamyślę się
Igielnik pod siebie podłożę — a nożyk podejmę
i przywiążę do sznura, na którym zawisnę.
Głos mego szlochania w dalekich górach oddźwięczał.
Lewą rękę podnoszę i lzy wycieram...

¹⁾ Za samobójczyńnię mąż zapłacił rodzicom jej rzeczami. Między innymi zwykle dają kociół czugunny. Mąż widocznie gotów był odebrać napowrót, bo był niezadowolony z żony i nie wyzyskał jej pracy.

— Słuchaj matulu droga, gdy umrę, śpiewaj i opowiadaj o mnie
 Stawiając mię za przykład dzieciom i podrastającym dziewczętom.
 A ja tak nie chcę iść w te błotniste wody,
 Choć o nich wciąż myślę, gdy z domu wychodzę lub powracam...
 Jak mi smutno żyć! Zagrodzona już droga moja.
 Chodzić będę wzdłuż i w okół jezior, szukając żab jako pożywienia.
 A kroki moje wydawać będą łomot jak grzmoty.
 Żaby zamiast ryb łowić będę i wiecznie zgłodniała, żywić się nimi
 [będę.

Bez rąk i bez nóg tułać się po świecie muszę wiecznie!¹⁾
 (Yj jeje-hoško!) Och jee-jej!

Staruszka ukończyła smutną pieśń i wpadła w głęboką
 zadumę. Wszyscy obecni byli wzruszeni i nie przerywali jej
 milczenia. Raptem zdaleka doniósł się słaby krzyk, prawdopo-
 dobnie jakiegoś ptaka. Wszyscy z otaczającej mię grupy poru-
 szyli się, podnieśli głowy i wyteżyli słuch — po chwili doszły
 mych uszu dobitnie, lecz szeptem wymówione słowa jednego
 z podrostków:

„Słuchajcie! i teraz krzyczy ta kobieta!”

Nieraz potem, gdy mi się zdarzało podczas przyjazdów
 i wólczeği po dzikich lasach Sachalinu usłyszeć jakiś nieokre-
 ślony oddalony dźwięk, przypomiiałem objaśnienie Gilaków:
 zagrobowy protest nieszczęsnych samobójców przeciwko smutnej
 ich doli podczas krótkich dni ich doczesnego życia.

Podaję tu jako przykłady poezyi Gilaków jeszcze kilka
 pieśni lirycznych, przetłómaczonych przezemnie dosłownie i ró-
 wnież, jak i wyżej umieszczona, opracowanych literacko (z bar-
 dzo jednak małemi zmianami, by możliwie blisko pozostać
 oryginału) przez panią C. D., której za łaskawie podjętą pracę
 wyrażam niniejszem me szczere podziękowanie.

* * *

II.

Moje matki i ojcowie moi²⁾

»Zabij siebie«³⁾ mi mówili, gniewając się na mnie.

¹⁾ Od żywienia się żabami samobójca stopniowo traci nogi i ręce.

²⁾ U Gilaków braci ojca nazywa dziecko ojcami, siostry matki —
 matkami.

³⁾ Za zabroniony stosunek z bratem ojca, kazano się zabić dzie-
 wczynie, ażeby zmyć grzech.

Ach, dolaż nieszczęsna!
Myśli moje już połową w zagrobowe idą życie,
O, ja nieszczęsna!
Tyś pojechał do Mandżuryi —
A ja siebie zabić muszę —
Ach, dolaż nieszczęsna!
Zamiast mego ciała
Weź kolczyki owe duże, co wiszą nad mą pościelą,
Weź je sobie, i przypomnij... i pożałuj...
Ach, ja nieszczęsna!
Krażki mosiężne, które zdobily rąbek mej sukni,
Zamiast ciała mego weź na pamiątkę.
Trzymać już więcej nie będę rączki wiad a z kory b zozowej,
Powieszę się nieszczęsna!
Nigdy dłonie moje biedne nie uchwycą już rzemienia,
Którym psy wiązałam...
I nie przylgnie nigdy więcej koromysło do mych ramion...
Ty pojechałeś do Mandżuryi, a ja się zabiję!
Tam gdzieśmy razem chodzili —
Będą teraz dni płaczu i dni ostatnich pieśni.
Poszłam do naszej, małej studzienki,
Którąśmy niegdyś wykopali,
Zaczerpnęłam wody czerpakiem i do ust go podjęłam —
Alem pić nie mogła — wszystko się wylało.
W łonie swoim noszę dziecię — i wstydzę się tego!
Ach ja nieszczęsna!
Bili mnie ojce moi, łąjały matki moje.
Tak do mnie mówili:
»Zabij siebie«!
Tak mi rozkazywali.
Jeśliś mnie bardzo pokochał,
Serdecznie wspominać mnie będziesz...
Weź z rybiej skóry odzienie (leżące w kącie przy wejściu)
Naszyte pięknie — wzorzysto.
Weź też kółeczki z mosiądzu, ozdoby mojej świtki,
Znajdziesz je w sieniach domu.
Jedno i drugie bierz zamiast mnie.
Myśli moje niechętnie do Mly-wo jeno ciągną.
Nieszczęsna — zabić się muszę!

III.

Dźwięczą wierchołki topoli...
 Słyszę głosy psów mego miłego,
 Ujadają powyżej wioski.
 Dolatuje mnie szczekanie
 Psów mego kochanka.
 Czemuż posmutniałam ?
 Bo oto, on już powrócił —
 A nie zajrzał do mej wioski.
 Drżą podemną kolana,
 Ustać prawie nie mogę,
 I jako deszcz rześisty
 Łzy na kolana padają,
 Ej, gną się podemną kolana!
 Tu i tam on przyjeżdża,
 A mnie ciągle omija...
 Złović Ciebie nie mogę,
 Nie dosięgnę ja Ciebie
 Poprzez górę wysoką!
 A o Tobie ja słyszę,
 Jeno od obcych ludzi
 Dziś o Tobie mi mówią
 Taki ptaszek malutki,
 Co ze stron twych przyleciał.
 We śnie jeno cię widzę!
 Ty zaś, gdy do dom jedziesz,
 Czyli o mnie pamiętasz ?

IV.

Wierchołki topoli dygocą — dźwięczą,
 Psy zaś Okona szczekają i dzwonią —
 Haj-jaje! Kaj-jaje! szczekają i dzwonią.
 Lecz czarnego psa szczekania ja nie słyszę.
 Zaś Okona psy wciąż ujadają, dzwonią,
 Aż wierchołki topoliny dygocą a dźwięczą —
 Po drodze poprzez polanę,
 Mój najmiłszy jedzie —
 Okon, Okon jedzie!

V.

Z boku na bok się kiwając — idzie, idzie Tylinyżna!
 Podobien zgietemu łukowi: Tylinyżna —
 Na głowie czapka z jelenich łapek —
 Siada do łódki na dno,
 Bo w tej łódce brak deszczutki, aby się u steru —
 Tylinyżna!
 Dojechał do brzegu,
 Wylazł: chodzi, chodzi w okół studni Tylinyżna.
 Podobien zatycze studziennej
 Tylinyżna...
 Podobny do trawy suchej, nierówno i źle ułożonej —
 O, Tylinyżna, Tylinyżna!

VI.

Na brzegu rzeki siedzi,
 Na trawce miękkiej,
 Obówie na nim nowe,
 Cholewy ze skóry foki.
 Na plecy narzucone
 Ubranie piękne, jedwabne.
 Rykowski chłopiec!
 Ujął mą rękę lewą —
 Puść mnie o proszę, nie targaj,
 Wszak ja pójdę z tobą!
 A czemuś ty mnie wyśmiewał,
 Gdy z tobą wprzód jechać chciała,
 Nie chciałeś mnie wziąć z sobą,
 A teraz mnie niepokoisz.
 Leżysz wygodnie na trawie.
 Ach Tyhlin drogi, miły!
 Pojadę z tobą, pojadę,
 Stanę się dnem twej łódki...
 O, odwiedź ty mnie proszę —
 Do Mopi małej rzeczki!
 Zmienię się w wilkołaka,
 Lub w trawkę się obrócę —
 A jednak pojadę z tobą...
 Za tobą, za tobą, pojadę..

VII.

»Powiedział mężczyzna kobiecie : »zabijmy siebie«. »Nie chcę — odparła — ty mnie oszukujesz«, — chcesz bym ja tylko rozstała się z życiem«. «Zabijmy się razem — oboje umrzemy prosił mężczyzna. Wyszli razem, kobieta się zabiła, a on został żywy. Już po swej śmierci kobieta tak mu śpiewała z Mly-wo, kraju zagrobowego« :

Mężczyźni oszukańcy,
Sama się teraz przekonałam.
»Zabijmy się, umrzyjmy«
Tak do mnie ciągle mówiłeś —
I jam się zabiła — a tyś pozostał.
Słyszałam umierając psów twych ujadanie
I szelest mknących saneczek.
Mężczyźni oszukańcy !
(Teraz już wiem wszystko),
Powtarzałeś mi ciągle :
»Zabijmy się — umrzyjmy«
Boś chciał, bym ja się zabiła.
Słyszałam, słyszałam, jak psy twoje biegły
I unoszących się do domu sanek
Słyszałam płozy skrzypiące !

VIII.

Z bratem ojca razem pojechaliśmy do Mandżuryi.
Przepędziliśmy tam całe dwa lata.
I jeść mi smutno było, i spać smutno !
Gdy z biegiem rzeki Amur wracać będę,
Niechaj wiatr południowy mi pomaga,
Niechaj stanie się psem, ciągnącym mą łódkę.
Unoszony bystrą wodą, krzyczęć będę : wio ! wio !
Na wiatr południowy, jak na psa, goń mię prędej !
Gdy dojechaliśmy do ujścia rzeki Siahryn,
Zapomniałem jej nazwy i wuja pytałem.
Wuj odpowiedział na me pytanie : »nie masz pamięci,
Wszak niedawno, prawie wczoraj, przejeżdżaliśmy
Tędy ku górze, a dziś zapomniałeś już i pytasz«.
I gniewał się na mnie, iżem zapomniał.
Każda wioska, którą mijaliśmy, zdawało mi się że jest moją.

I znów mijaliśmy duży zakręt, i zdawało mi się, że to już wieś
[rodzinna.

Lecz znowu się myliłem (Yjut nyahra).
Jadąc do domu wspominam ciągle to co zostawiłem.
Nie! Nigdy już więcej do Mandżuryi nie pojedę.
Gdy dojechaliśmy nareszcie do swej wioski
Trzy razy musieliśmy do brzegu podejżdzać
I trzy razy zwracać, szukając głębszego miejsca,
Bo łódka była pełna i ciężka —
Wreszcie zarzuciliśmy kotwicę i zatrzymaliśmy się.
Ujrzało nas pięć kobiet z mojej wioski,
Przejęte radością — na rękach uniosły łódź naszą,
Łódź dziesięcio-metrową zepchnęły z mielizny
I spuściły na wodę. Poczęły szukać wiosła.
Wreszcie koło składu znalazły ich dwie pary.
Moja kobieta chwyciła za wiosło i prawie złamała,
Musiała więc tylko jednym wiosłować.
Gdy zbliżyła się do mnie, tak jej powiedziałem :
»Nie siadaj ty koło mnie, czy piękna jesteś, czy brzydka,
Nie jesteś mi potrzebna. Nie siadaj więc przy mnie.
Wszak wiesz, że na jedną tylko oczy moje patrzają!«
Zatem ona zaczęła rozpytywać o podarunki.
«Czy mi przywozłeś srebrny pierścionek,
Srebrny pierścionek mandżurski, cały rzeźbiony?»
Wszak ciebie wspominałem bezustannie,
Aż mnie bok pod żebrami rozboleł tak bardzo,
Iż mi się zdało, że pęknie, od ciągłych myśli o tobie.
Zachowałam dla ciebie wiele z tego co było bez ciebie,
Jeśli ci to wszystko opowiem, lub tylko trochę z wierzchu,
I jeśli ci to pokażę, nie wiem naprawdę, czy na rok przyszył
Będziesz jeszcze człowiekiem siedzącym na swej ziemi,
Wstydzę się bardzo, bo mi powiedziano, że jesteś stryjem moim!
Rzemieniem z małej fokii wyróżniętym się zaduszę.
Dłużej już na swej ziemi mieszkać nie mogę.
Wszystko mi jedno, czy ty zostaniesz przy życiu, ja się powieszę.«
»Z jakąż twarzą mógłbym pozostać na swej ziemi?
Ja też się zabiję« odpowiedział mężczyzna.
»Lecz ja się pierwszy zabiję, bo wiesz przecie,
Że gdybyś pierwsza umarła, nie dopędził bym cię po śmierci!«
Kobieta dodała: »Tak, zdawało by mi się, żeś jest dyabłem —

Uciekać bym musiała od ciebie, dopędzić byś mnie nie mógł.
Spotkalibyśmy się dopiero jako starcy. Tak mówią — starzy ludzie».

»Ja się pierwszy zabiję, lecz i ty zabij się koniecznie.

Połam swe wszystkie rzeczy i rzuć na mym grobie.

Kończę już swe życie młode na ziemi».

«Gdyś powiedziała, że żoną twą chcę zostać,

Krzyknęły matki i ojcowie, że mnie zabiją.

Niby grzech wielki popełniłam, a tak mi ciebie żal !

Moi krewni mówili, że mnie samą zabiją,

Boś ty dobrym człowiekiem, więc im ciebie szkoda.

Lecz jeżeli naprawdę ty mnie biedną załujesz,

To i siebie zabijesz : zabijmy się razem !»

»I ja także tak myślę — odpowiedział mężczyzna —

Choć ze mnie dobry człowiek i dość jestem bogaty,

Pocóż siebie żałować ? Wszystko jedno kiedy umrzeć.

Do rzemienia na którym się powieszę, uwiążę nóż,

I tak się zabiję. Ale i Ciebie proszę, nie zostawaj na ziemi,

Wkrótce po mojej śmierci zabij także i siebie».

«Słuchaj rzekła kobieta — umrzyjmy w dzisiejszą noc

W najlepsze się ubierz odzienie. Ja też wdzieję na siebie

Najpiękniejsze z mych ubrań».

»Zgoda. Rozdam tej nocy wszystko, com przywiózł z dali —

Bogatym rozdram, ubogim, wszystkich żywić ich będę.

Rozdam im wszystko, wszystko, co w swych rękach trzymałem.

Potem... jutro nad ranem, nim się słońce pokaże,

Pójdziem w to dobre miejsce, pójdziem oboje razem ¹⁾.

IX.

Kiedy zawiął wiatr z południa, szumi, huczy duże

Morze, echo od gór Czcharwo się odbija.

Szczekanie psów Tawrkina dźwięczy w powietrzu —

Do gór Czcharwo dobiega.

Głosy psów mego Tawrkina podnoszą się aż do wierzchołków

Topoli, aż w Uruskwo głosy psów ja słyszę.

Głosy psów Tawrkina odbijają się echem, aż o górę Ulm.

Przez dużą polanę Mozimby przemknęła szybko

Narta Tawrkina, a echo naszczekiwania psów

Aż do spalonego lasu Ibelki, aż do smukłych szczytów

¹⁾ Oboje się zabili, on pierwszy — ona za nim.

Modrzewi się donosi.
 Wysłałam więc i spjrzałam : oto i sam Tawrkin !
 Siedząc na narcie skulony, wyglądał na kupę śmieci.
 Niema na co patrzeć. Duże futro z szarych psów
 Włożone na wywrót.
 I patrzeć się nie chce... jeno szukam, gdzieby schować swe oblicze.
 Poszłam po wodę i jednak bokiem na ciebie spjrzałam.
 Twa spodniczka z foczej skóry ciasna, jakby cię oblepiła.
 Kiedyś raz pierwszy przechodził, nazywałam cię wujem,
 A teraz gdyś znów przyjechał, to zrobiłeś mi się wstrętnym.
 Na swe nary ciężko ległam i już do snu się układałam.
 Gdzie poduszkę swą usunąć, sama nie wiem ?
 Jaknajdalej ty ode mnie się układaj.
 Twoje futro wstrętnie śmierdzi ; gdzież ty odzienie położysz ?
 Jeżeli spać ze mną będziesz ?
 Nie chcę, nie chcę tego smrodu.
 Gdy się przespałam i wstałam, usłyszałam głosy
 Gniewne moich matek i mych braci.
 Szukam jeno, gdzieby schować swe oblicze, wstyd mnie samej.
 Na potrójnie witym sznurze się powieszę — pomyślałam.
 Zamyśliłam się też nad tem, jak zakończę swoje życie.
 A łające głosy matek, wciąż się po jurcie roznoszą.
 W którą stronę mam się zwrócić, gdy jeść będą.
 Wychodź-że, wychodź prędzej! zaprzęgnij swe psy.
 I wracaj do domu! Wszak do ciebie ja mówię. Czy słyszysz ?
 Kilka sztuk nędznej, suszonej ryby, którą mnie karmiły
 Ojcowie, matki, wyniosę do nart twoich
 I położę jako pokarm dla psów na drogę.
 Ej-że jedź do domu! A psa z dobrym głosem zamiast siebie zostaw.
 Może się przez to pogodzisz z memi ojcami i matkami.
 Zapewne porzucą jedną, albo i dwie złe myśli o tobie.
 Oto mój Tawrkin do domu swego pojechał.
 (Poetka żartobliwie wyśmiewa swego kochanka i radzi mu po-
 darować psa jej krewnym, by nie tak silnie dokuczali jej za ich
 stosunek miłosny, nie aprobowany przez rodzinę).

Kołysanki.

a)

Dziaa — dziaa — dzia

Matki dziecko

Taty dziecko
 Zaśnij!
 Czaa — czaa — cza
 Czegoż płaczesz?
 Czaa — czaa — cza!

b)

Nieprawe dziecko, bez ojca dziecko
 Wewnątrz skalistej góry płacze — (tuukurszko!)
 Nieprawe dziecko płacze — «
 Gilaczki Sigizian dziecko — «
 Swej matki znaleźć nie może — «
 Swego ojca nigdy nie znało — «
 Sigizian-Gilaczki dziecko płacze — «

